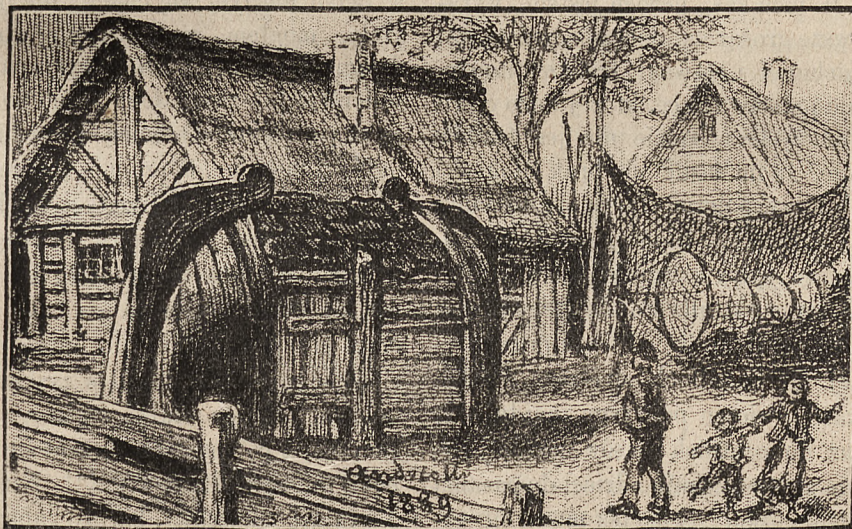


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Chata w Jastarni.

Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

LIST JÓZIA.

Kochani koledzy! Wiem, że wszyscy czytawaliście z zajęciem listy mego brata Julka, nisywane z wystawy paryzkiéi.

Ani słowa, że taka wystawa to osobliwość nielada i było o czym pisać i czym was zaciekać, ale i ja choć nie byłem w Paryżu, widziałem także rzeczy na inny sposób ciekawe i spróbuję wam je opisać, skoro redakcyja pozwala mi na to. Julek widział wszystkie cuda, jakie wytworzyć może przemysł ludzki, ja tylko morze i nadmorska ziemia, wąskim pasem

w morze wchodzącą i ludzi, którzy w tym odludnym zakątku mieszkają, ale... nie zazdroścę Julkowi Paryża!

To morze chłodne, zielonawo-sine, to „pieniący się burztykami” Bałtyk, a ta ziemia, to stara siedziba Kaszubów: półwysep Heli, a ci ludzie, to zamieszkali na niej „rybacy”, bo tak ich nazywają mieszkańcy nadbałtyckiego Pomorza. W Sobotach spędzając wakacje, miałem sposobność być na Heli i zwiedzić rybackie osady: Chałupy (leynowa) Kusfeld, Bór Hel i Jastarnię i dziwne na mnie robiło wrażenie to życie, pędzone w warunkach tak odmiennych od życia na stałym lądzie. Trochę lasu, dużo piasku, morze naokoło, pracy przy roli prawie żadnej, bo nie się tam prócz kartofli nie sadi, a jedynym zajęciem i jedynym sposobem zarobkowania rybołówstwo. Z „krajowymi” jak ich nazywają, to jest z mieszkańcami właściwego Pomorza, nie mają rybacy innych stosunków prócz sprzedaży połowu i zakupienia żywności; stąd też nabrali szczególniejszych cech i przymiotów, któremi się różnią od tamtych tak umysłowo, jak i fizycznie. Po mowie, po ubiorze, po jakiejś nadzwyczajnej u ludu pewności siebie wszędzie poznasz rybaka; nie zna uniżoności, bo pomiędzy sobą wszyscy są równi, a choć nie bogaci, to jednak każdy ma swoją chatę, krówkę, wieprza i dochód z połowu i... nie skarży się na swój los. Powierzchność ich wcale pokaźna: ciągły ruch na świeżym powietrzu rozwija ich siły i wzmacnia mięśnie tak, że wstyd mi doprawdy było patrzeć na rybackich chłopców w moim wieku będących. Oni jak dąbczaki, silni i krzepcy, a ja? Choć biorę lekcje gimnastyki i konia czasem dosiadam, choć w domu mam wszelkie wygody, a ruchu sporo, bo z pół mili codzien zrobię idąc do szkoły, a drugie tyle napowrót, choć na brak sił wcale narzekać nie mogę, gdzie mi tam jednak równać się z nimi? Może to mnie algebra i geometrya tak wycieńczają, i ten ciągły niepokój: a czy dwójki nie będzie w cenzurze, a czy promocją dostanę? W nich zaś, pewien jestem, wyrabia siłę ta ciągła walka z zawsze grożącym niebezpieczeństwem, to przekonanie że od ich dzielności i rozwagi życie ich częstokroć zależy. Nie mam ja nic przeciw nauce, której dużo chwil przyjemnych zawdzięczam, ale życie rybackie nie jest też bez powabu! Zauważyłem także, że im wcale nie brak zdolności umysłowych; roztropni są, bystrzy, pojętni, garną się do nauki bardzo chętnie i niema prawie dziecka, któreby czytać po polsku nie umiało. Dla nas znowu język kaszubski nie przedstawia prawie trudności. Znajomy mi ksiądz Polak, który długie lata przebył w Jastarni, opowiadał mi, że od razu prawie rozumiał swoich parafian lepiej, niż sąsiednich pomorzan. Pochodzi to zapewne stąd, że w każdej wiosce półwyspu znajduje się oddawna szkoła, w której aż do ostatnich czasów uczono języka polskiego, a że tam ludzie nie potrzebując dzieci do pasania bydła, posyłają je regularnie do szkoły, więc też mowa się wysztaleiła i nabrała cech polskości. Mają tylko rybacy odrębny akcent, bardzo dla naszego ucha zabawny, a w każdej wiosce inny, oraz pewne właściwości wymowy. W Kusfeldzie na przykład nie powiedzą ci: nauka tylko *nyka*. Wymawiają także; „kościółt, skowronk, połdnie”, wyrzucając samogłoskę i życząc ci „zostań z *Boga*”, częstują cię „*mleka*” i t. p. sobie właściwe mają wyrażenia.

Ale obok tych zachowują oni zwyczaj całego plemienia wspólne, jak np. palenie Sobótek. W wigilią Ś-go Jana nie byłem jeszcze w Sobotach (wazyły się własne losy mojej promocji!) ale opowiadali mi chłopcy rybacy, że każda wieś pali na brzegu morza jedną lub dwie beczek po smole, przybitych

do wysokiego drąga, żeby ogień widać było jak najdalej, śpiewając przytem pieśń o Ś-tym Janie, ale Nepomocenie, bo nie znają pieśni o Ś-tym Janie Chrzcicielu.

Chaty rybackie prawie wszystkie do siebie podobne, z belek zbite, z wejściem prosto do sieni, w której mieści się kuchnia. Na rycinie zobaczycie jak wygląda chata z wierzchu i w środku. Na prawo bywa zazwyczaj spora izba z trzema oknami, z porządną podłogą i sufitem z desek na niebiesko pomalowanych. W izbie stół, łóżka, skrzynia na rzeczy, półka na kuchenne naczynia, zegar, krzesła, pod piecem ławeczka, a na ścianie mnóstwo obrazów i pozawieszane na sznurkach wcale ładne angielskie talerze malowane, czasem chińskie lub japońskie szafeczki i pudełka (jedno takie odstąpiono mi dla Gołąbki, która przepada za gratami), a w starych chatach piec z kaflami bardzo dziwnie malowanymi, to już chyba wszystko, co w rybackiej chacie zobaczysz. Czysto tu, schludnie, wszędzie ślady rybackiego rzemiosła: to kołowrotek, na którym kobiety („białki”) len przędą na sieci, to sieć którą wiązać rozpoczęto, to inna do naprawy rozpostarta: to pęki świeżo skręconego sznurka... Nie próżnują tu ludzie, nawet wtedy, gdy ryb na morzu nie łowią. Poznałem się tu z równego wieku chłopcem, Waliszem (Walentym) i ten mnie zaprosił do chaty swoich rodziców, gdzie mnie bardzo gościnnie przyjęto i poczęstowano podwieczorkiem. Gospodyni, na którą mąż wołał „Maryka” postawiła przed nami świeży chleb, dała do niego na zakąskę wyborne solone rybki, *breillingami* tu zwane, potem świeże ryby, na „węgliszkach upieczone, z „krepą” (kaszą) i śliwkami, wszystko bardzo smaczne i czysto podane. Kłopotowała się, że niema w domu „bajesz” (piwa bawarskiego, które tu kobiety piją z „cukrą”), ale dała nam na popicie podwieczorku wyborną kawę i tak gościnnie zapraszała do jedzenia, że jadłem za czterech. Jaki bo to apetyt daje powietrze morskie! ja w ogóle niezłym się cieszę, ale przejechawszy się z Sobót na Helę, mogłem zjeść choćby wołu a wróciwszy do Sobót, drugim zakąsić! Pani Maryka patrzyła z prawdziwym zadowoleniem jak zajadałem jedno po drugim i chciała mnie jeszcze poczęstować słoniną i winem, ale od tego jużem się wymówił i posilony, uprzejmie podziękowawszy za gościnę, pobiegłem z Waliszem obejrzeć kościół, który na przyłączonym tu rysunku widzicie. W drodze opowiadał mi Walisz (zuch chłopak, aż miło!) że na przyszły rok skończy lat 18, rodzice sprawią mu wtedy długie po pas buty, dadzą niewody i sieci, poczem przyjęty zostanie do „maszopery” (związku rybackiego) i będzie miał swój udział w zyskach osiągniętych ze sprzedaży połowu. Potem służyć będzie w „marnie” (marnarce wojсковej), a potem wróci i ożeni się... Na weselu jego pewno będą tańczyć „dziuk-wiwat”! Nie wiecie co to jest? prawda? To taniec miejscowy, bardzo zabawny. Dwaj chłopcy, każdy ze szklanką piwa w ręce przyskakują do siebie, kręcą się, rozbiegają, potem stają na środku izby, a inni tancerzy obchodzą ich w koło: chłopcy podnoszą do góry szklankę piwa, a dziewczęta powiewają chustkami. Widziałem to na weselu stryjecznej siostry Walisza; ślub odbył się w kościółku w Jastarni, a wracającym od ślubu nowożeńcom podano na progu chaty kawałek chleba z życzeniem, aby im go niby nie zabrakło.

W kościółku tym, dla trzech wiosek parafialnym, byłem parę razy. Czarno osmolony na zewnątrz, z czerwonym dachem, czerwoną spiczastą wieżyczką, z „modremi” oknami i drzwiami, nieładnie wygląda po wierzchu, ale za to wewnątrz

jego miłe robi wrażenie. Ulubionym kolorem rybaków jest seno-niebieski, który im morze przypomina, więc też i w kościółku dwie widać barwy: modrą i białą. Ściany bielusienkie, presbyteryum ciemno-modre, a filary, okna, ławki tejsze samej barwy, tylko jaśniejsze, dwa ołtarze: na jednym figura Matki Boskiej Bolesnej, ot i wszystko, ale ta uroczysta prostota, usposabia do modlitwy, a piękny śpiew rybacki, rytmicznie wznoszący się i opadający, przypomina ci kołyszącym się rytmem swoim, morze, którego huk aż tu czasem dolatuje i gra pieśni pobożnej do wtoru. Pieśni to polskie i mnóstwo ich umieją rybacy, którzy ciągle narażeni na niebezpieczeństwa, czują potrzebę oddania się pod straż Temu, który tarczą jest wiernych Swoich. Śpiewają też ze szczególnem nabożeństwem „Kto się w opiekę” i „Gwiazdo morza”, a do suplikacyj dodają wezwania, które tu tylko słyszałem: „Abyś nam powietrza potrzebnego użyzyć raczył”, „żebyś nam na niewodach pobłogosławił raczył” i t. p.

(d. c. n.)

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

Szandor, któremu dawniej jak wielu wyrostkom teatr i aktorskie życie zdawało się z daleka czemś bardzo pięknem i niezmiernie wesołym, teraz, przyjrawszy się zakulisowemu tajemnicom, to jest odwrotnej stronie medalu, pojął że jest ono wbrew pozorom, w gruncie ciężkie i duszne, zwłaszcza dla płuc przywykłych oddychać świeżą wioną puszy. Pracował jednak gorliwie, tak fizycznie jak umysłowo, o ile tylko pozwalały siły piętnastoletniego chłopca, i przy bezustannem zajęciu życie znośnoby było, mając na osłodę upragnione książki, dostarczane przez kolegów, i pieśń pocieszycielkę, gdyby nie to, że zaledwo oczy do snu zamknął, spostrzegł groźną twarz ojca i zapłakaną matkę. Widzenie to, powtarzające się uporczywie noc w noc, zaczynało być niebezpiecznym dla umysłu znękanego chłopca.

— Cóżem winien! kiedy nie mogę uczyć się na prawnika ani na inżyniera, bo czuję że światło rozumu gaśnie we mnie przy tej nauce!... — mówił we śnie, rzucając się do nóg ojca, a ten z pałającymi oczyma, utkwionymi w nieposłusznym synu, podnosił zwolna rękę, otwierał usta, już, już miał wyrzec straszne słowo... gdy Szandor budził się obłąany zimnym potem.

Ten dzieciak jest chory! — mówili koledzy wtajemniczeni przez Rzymianina w halucynacje chłopca.

Tak, chory na rozrost serca i wyobraźni — odpowiadał Rzymianin. — Sam o tem nie wiedząc czuje on dotkliwiej winę swego nieposłuszeństwa i goręcej kocha rodziców, niżby kochał gdyby nie był zrodzon poetą.

Trzeba chłopca rozrywać! — postanowiono po naradzie i zaczęto prawie gwałtem odrywać go od książek i zatrzymywać na wspólnych wesołych wieczorach, urządzanych po przedstawieniu. Zawsze trochę dziki wychowaniec puszy, teraz zgębiony smutkiem, mimo prawdziwej przykrości jakiej w takich razach doznawał, musiał jednak czasem należeć do grona biesiadników, mianowicie na zaproszenie i wyraźny rozkaz dyrektora. To co narzucono mu jako rozrywkę, było mu zdwojonej cierpieniem, gdy blady i znużony otaczającą wrzawą wesołą, musiał być jej przytomnym.

— Śpiewaj druchu! — wołali wtedy rozochoceni biesiadnicy, uderzono w strunę harfy lub skrzypiec i Szandor śpiewał:

Wśród gór stromych po dolinie
Dwaj wędrowcy dążą wzajem,
W swoim kraju rzeka płynie,
Chłopiec idzie cudzym krajem.

Postać chłopca dziwnie blada,
Ledwo stopy dźwiga z ziemi.
Z skał na skały rzeka spada,
Szumiąc nurty spienionemi.

Gdy tęsknoty chłód grobowy
Pacholęciu zmroził usta,
Czarownemi pieśni słowy
Z lasem rzeka gwarzy pusta.

Przemkły góry, las daleko,
Już w przestrzemi oko tonie,
Dwaj wędrowcy chłopiec z rzeką
Wciąż ku jednej dążą stronie.

Lecz zkąd nagle ta przemiana?
Czemuż, czemu na dolinie
Tak podąża krok młodziana,
Tak leniwo rzeka płynie?

Czemu zmiłkły fale wody
Co płasły tam na górze?
Czemu śpiewa chłopiec młody
Przy wietrzyków słodkim wtórze?

Tęskni rzeka za kołyską
Za górami tęskni swemi,
Śpiewa chłopiec bo mu blisko
W poświęcaniej zasnąć ziemi...

— Eh, cóż za szkaradna piosenka! Nie takiej chcemy! Co ci za niedorzeczność przyszła do głowy, chłopcze niegodziwy! — wołali słuchacze.

— Tyś ani jednej czarki wina nie wypił dzisiaj... pij aby ci weselsza myśl przyszła, pij zaraz!

— Pij odemnie! Odemnie! Ja lekkie piję wino! Pij moje! — i z kieliszkiem złotego tokaju w rękach, weseli biesiadnicy zwracali się do smutnego śpiewaka. Ale nagle skamienieli na widok przerażenia wyrytego na jego twarzy. Mackbet wobec ducha Banka, nie bielsze musiał mieć usta, jak Szandor w tej chwili; biesiadnicy mimowoli spojrzeli w kierunku jego wzroku...

Ten w którego wlepił oczy Szandor, stał w pobliżu stołu, Był to średniego wzrostu, w odświętnej odzieży, z błyskawicą w czarnem oku i czekaniem na długim kijku zamiast laski w rękę, wieśniak, mieszkaniec puszy zielonej.

— Spożywajcie zdrowi! Przychodzę po jedynaka mego! Szandor, chodź!... — wyrzekł dźwięcznym rytmicznym głosem, który rozbrzmiał po sali, jakby trzy przeciągłe uderzenia spiżowego dzwonu.

Nikt nie odpowiedział, nikt się nie poruszył, tylko Szandor wstał; błąd jak nieżywy, powoli jak senny przystąpił do ojca. Petofi wziął syna za rękę jak dziecko, kapeluszem ukłonił się zakłętemu na nieruchomość towarzystwu i wyszedł. U wyjścia ktoś zarzucił Szandorowi płaszcz na ramiona.

VII.

Była to noc ciemna i późna, albo raczej wczesny bardzo poranek, przed świtem; chłód przejmował właściwy tej porze dnia w najgorętsze lato; miasto spało. Petofi z synem opuściwszy zdumionych aktorów, równym miarowym, jak wytresowany żołnierz krokiem, przeszedł jedną i drugą ulicę Buda-Pesztu, słabo rozświetloną latarniami i zlekka zastukał czekaniem w drzwi podrzędnej gospody. Janos dziś już żonaty i dzietny, ale wciąż w służbie u dawnego pana zostający, otworzył drzwi.

— W drogę! — rzekł zawsze miarowym głosem pan. I stanął nieruchomy u wrót, trzymając syna za rękę; snadź załatwiwszy poprzednio rachunek, bo miejscowy gospodarz stał także milcząc z daleka. Coś tajemniczego, coś niedobrego zdawało się wiać od tej sceny niemiej, skrywanej w łonie ciemnej nocy; takie też uczucie gnębiło wrażliwą duszę Szandora. Po najkrótszej możliwie chwili, wózek węgierski zaprzężony w czwórkę jak zwykle, wyjechał z bramy gospody; Petofi

zieniacka, jakby w obawie oporu, ująwszy wątlego chłopca z tyłu pod ramiona, wrzucił go do wózka, sam wskoczył za nim:

— To są rzeczy pana Szandora! — szepnęła jednocześnie postać jakaś, zamajaczywszy u koni i rzuciła węzełek Janosowi.

— W drogę!... — powtórzył pan; Janos cmoknął, wózek znikł w ciemności, tem gęstszej że właśnie powstawać zaczynały już na wschodzie brzaski poranne. Im bardziej świat się rozjaśniał, tem chyczniej pędziły konie. Znikały wille, wioski, osady, bezdenne puszcza ogarnęła wkrótce podróżnych; dotąd żaden z nich nie przemówił ani słowa do drugiego i to właśnie przerażeniem napępiało Szandora. Znał on dobrze, prawdziwą madziarską gwałtowność ojca, wiedział że w razach wymożonego przez matkę i przyrzeczonego jej umiarkowania, ojciec miał zwyczaj używać miarowej a skąpjej mowy, lub zaciskać usta w milczeniu, usiłując gwałtem utrzymać gniew na wodzy, zadosyć uczynić przyrzeczeniom. Drżał więc chłopak przed

końmi na linii, którą biegły i czekającego stosownie chwili, aby wedle okoliczności, rzucić się na zdobycz lub uciec. Przez kilka sekund Petöfi był wilkiem jedynie zajęty. Nareszcie strzał zagrzmiał, wilk silnie podskoczył i odrazu padł na grzbiet czterema nogami w górę. Jednocześnie Petöfi pochwycił lejce przychyłając się w wózku, a parobek Janos powstał i z zamachem wywinąwszy arkanem ponad głowę, wyrzucił go na wilka, pętając nieżywego, poczem przyciągnął go do wózka i uczepiwszy doń, zajął się napowrót koźmi, które ani na chwilę nie zwolniły lotnego biegu. Wtedy to Petöfi, oddawszy lejce, wyprostował się ze zgiętej poprzednio pozycyi, którą przybrał, aby Janosowi w rozmachu nie przeszkadzać, poprawił płaszczu podrzuceniem ramion, i siadając napowrót na głównym siedzeniu poczuł, dotknąwszy bez myśli derek i małego płaszczu leżącego obok na wózku, że... pod niemi nie było Szandora...

— Janos stój przez Boga żywego, dziecka niema! — zakrzyknął z całą potęgą ojcowskiej rozpacz, zapominając



Wnętrze chaty w Jastarni.

tym gniewem tak strasznym, że aż sam rozum rozgniewanego lękał się wejść z nim w zapasy. Nie miał żadnego pojęcia, jak ośmielił się spojrzeć ojcu w oczy o dniu jasnym, od czego dotąd uwalniały go okoliczności, bo i deszczyk z chmurnego nieba padający, przedłużał świtanie i on sam wrzucony do wózka niewyspany, zawinięty w płaszcz własny, a nakryty potem jedną i drugą derką i połą szerokiego ojcowskiego płaszczu, mógł bezkarnie udawać dotąd że śpi. Ale dalekim był od snu, a pogrążanie się w ponurych myślach, podniecane jeszcze tem snu udawaniem, w nieruchomej postawie i w ciemności, działało tak dręcząco na chorobliwie wrażliwą wyobraźnię, że z każdą chwilą serce biło mu gwałtowniej i strach przed koniecznym porozumieniem z ojcem wzmagał się, do obłądki, do szaleń. Gdybyż można uciec?... ale jak?

— Janos! patrzaj! toż wilezysko stoi przed nami! nie pal z bicia bo go zestraszysz! — półgłosem rzecze Petöfi, i z wolna powstał w wózku ujmując w dłonie strzelbę, a oka nie spuszczać z ogromnego wilka, stojącego przed

w tej chwili o wszystkim co tem dzieckiem nie było, i wyskoczył z rozpedzonego wozu. Janos powstrzymał rozbukane rumaki, zeskoczył, zabiegł im od przodu i uderzywszy długą ręką ręką czekana w miękki grunt, utkwil tę broń swą przed głowami koni, które wzywczajone snadź, stanęły przed tym znakiem spokojnie, jakby to był dąb, a one najmocniej doń przywiązane były. Janos pewny że nie ruszą z miejsca, wskoczył jeszcze raz na wóz i stanawszy na najwyższej krawędzi obejrzał się baczenie na okół... Płaszczyna to była bezbrzeżna, ani krzaka, ani drzewka, ani wzgórczka, zdawało się że zająca można było na niej w promieniu kilku mil zobaczyć, a jednak Szandora nie było... Petöfi ojciec biegał tylko tam i sam, jakby zupełnie rozum postradał; ze wszystkich sił wywoływał imię syna, rozpaczając przytem w niebogłosey że chłopca wilki porwały.

— Ho ho!... gospodarzu! — krzyknął parobek, biegnąc ku niemu — nie obrażajcie Pana Boga rozpacz: wilki nie mogły porwać dziecka, bo nie chodzą w tej porze gromadnie,

to jeden tylko jakiś samotnik, stanął nam na drodze przed chwilą.

— Więc gdzież jest dziecko? — odparł ojciec — nie mogło przecież zostać daleko, bo pewny jestem że dopiero co znajdowało się u mego boku!

Janos, nie wiele niższy umysłowo od swego gospodarza, był w tej chwili owszem wyższym od niego o tyle przynajmniej, o ile rozważa wyższą jest od szalejącej rozpacz.

— Nie wiem — rzekł — ale to pewna że wilki go nie porwały, bo ich niema, że nie skryła go żadna gęstwina bo i tej niema, zatem musiał chyba upaść w jaki „dołek” gdyż i uciekać nie mógł daleko, bo musielibyśmy go widzieć. Wszelako nie wiemy gdzie on jest. Otóż zrobimy jak charty robią, kiedy trop stracą... bieżajmy w koło...

i cmoknął... poleciełi jak wiatr. Teraz, stary Petöfi trzymał syna poprostu w obu rękach, niby węgorza gotowego łada chwila się wysliznąć. Szandor, czując że niefortuną próbą ucieczki, pogorszył do ostateczności nieszczęsną swą sprawę, konał ze strachu. I niechybnie jeżeli nie on sam, to przynajmniej rozum jego byłby skonał, obłąkawszy się w tej chwili, gdyby chwila ta dłuższą była. Szczęściem, po kilkunastu minutach szalonego biegu, rumaki stanęły przed czardą, ryjąc kopytami murawę, i matka z jękiem i śmiechem pochwyciła w ramiona syna, teraz dopiero wybuchającego płaczem gwałtownym. Chwycił ją wzajem za szyję i zamilkł nagle; ręce zesztyniały mu w tym uścisku, ze mdłał.

Po otrzeźwieniu, matka przez kilka dni i nocy nie odstępowała od łóżka, na którym chłopiec leżał, wstrząsany od cza-



Mieszkańcy Heli.

— Bieżajmy! — powtórzył ojciec i natychmiast utkwivszy swój czekan w miejscu gdzie stał, zaczął biegać nokoł niego, kręgiem coraz większym. Janos naśladował go. Pierwotny to niezmiernie sposób wyszukiwania zguby na płaszczyźnie, ale dla tego właśnie dobry. Oba biegli umiarkowanym kłusem, czego nie dostrzegł jeden, musiał dostrzedz drugi, a kręgi przez nich zarysowywane powiększały się z każdą chwilą, acz nieznacznie. Zanim w taki sposób oddalono się o pół wiorsty od czekana stanowiącego punkt środkowy gonitwy, stary Petöfi wydał dziki okrzyk, zarówno boleścią jak i radością nabrzmiały. W dwóch skokach parobek był przy gospodarzu. W małym wykopanym prawdopodobnie przez zwierzę jakieś, leżał skurczony chłopiec. Ojciec pochwycił go jak piórko i pędził do wozu

— W konie! — zawołał wskoczywszy. Parobek przytomniejszy w tej chwili, zdążył wyrwać po drodze czekan pański, potem wyrwał z przed koni swój własny, wskoczył na wózek

su do czasu dreszczem bolesnym. Gdy nareszcie po kilku dniach, usłyszawszy że ojciec wyjechał, Szandor chciał wyjść, znalazł drzwi zamknięte, a okienko malutkie jak dwie dłonie, umieszczone było bardzo wysoko, w tej jego terazniejszej sypialni, izdebce szczytowej, przeznaczonej na zachowanie kosztowniejszych rzeczy... zrozumiał że był uwięziony. Pomocowawszy się napróżno z okutymi drzwiami, rzucił się na łóżko, udając że śpi, nawet gdy rodzice wrócili i matka przyszła do niego. Gdy odeszła znowu po cichu, zerwał się i wdrapawszy po sprzętach do owego okienka, usiłował choć odetchnąć świeżym powietrzem, bo rozpacz go ogarniała, dusił się. Ale obszar puszt, ujrzany z okna wzmógł tylko tęsknotę więźnia.

— Ojciec przestał mię kochać... — pomyślał.

Łzy strumieniem lały się po licu swobodnego niegdyś wychowanka puszt, gdy wtem tkliwy, drogi głos matki, doszedł do jego ucha:

— Oj panie mężu — mówiła smutno matka — niedobrze

robisz, raniąc zbytnią surowością serce własne i jedyne dziecko: toż on może stracić resztę sił i zdrowia, w takim zamknięciu!

Szandor przypomniał sobie że pod okienkiem, na dole, stała ławka, na której rodzice siadywali czasem gawędząc.

— A co mam czynić?... — ozwał się tymczasem głos ojca, nie gniewny wcale, lecz owszem smutny taki że Szandora aż serce od tego smutku zabolalo. — Co mam czynić? Wszak widzisz że chłopak o tem tylko myśli, żeby od starych rodziców uciec; a czyliż ty sama nie zamykasz co tylko masz najdroższego w tej izbie na górze?... gdybyś miała skarb drogi, zamknęłabyś go tam także, cóż dziwnego że i to dziecko, jedyny mój skarb drogi na świecie tam zamykam!

(d. c. n.)

R A D A.

Jeżeli idąc przez życie
Pomiędzy ludźmi dziewczka moja
Spotka się z zdradą duszyczka twoja
I zmrozi serce w rozkwiecie,
Ty kochaj jednak! Jak lilia wodna
Świeć niewinnością serduszka twego;
Dalej z miłością pij kielich do dna,
Kochaj dla Boga, bliźniego.
Bo jak bez cierpień niema radości,
Bez przyczyn chwili nieszczęścia,
Tak wyrzec można: że bez miłości,
Niema zbawienia, ni szczęścia!!

Anna D.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Przechadzka pomoże nam otrząsnąć się z nośnej wilgoci — rzekł Menito. Mała małpeczka skoczyła bez ceremonii na ramię Tomka, który wcale się nie rozgniewał o taką jej fantazję w sposobie podróżowania.

— Tam są Indianie pod temi drzewami — rzekł Dabby Simon, gdy przechodzono koło gromadki dębów — będzie można zapytać o drogę.

Nie ufał snadź bardzo swoim topograficznym wiadomościom i chętnie korzystał ze sposobności nauczenia się czegoś. Indianie zbierali właśnie słodką żołądź.

Dabby Simon mający nadzieję, że wywie się o drodze od Indian obozujących pod dębami, zawiódł się w swem oczekiwaniu; ludzie owi nie umieli po hiszpańsku i na próżno usiłowano porozumieć się, gdy jeden z nich uderzył Melchiora po ramieniu i podnosząc palec w górę jakby dla nakazania mu uwagi, rzekł wskazując wążką drożynę.

— *Blanco, blanco* — i gestami zdawał się obiecywać, że tam idąc będzie można z kimś się porozumieć. Melchior zaczął przysłuchiwać się i dość wyraźnie usłyszał uderzenie siekiery drwali; zatem udał się we wskazanym kierunku. Niezadługo spotkał człowieka w sile wieku, z gołą głową, odzianego w coś nakształt kurtki strzeleckiej, który ociosywał belkę. Nie wyglądał na Hiszpana, i w istocie, gdy Melchior doń przemówił, porzucił siekiere, przystąpił do wędrowców wesoło i po dał im rękę angielskim obyczajem.

— Jeżeli idziecie do Vera Paz — rzekł dowiedziawszy się o co im chodziło — jesteście na właściwej drodze; jednakże chętnie poprowadziłbym was do Lagunas, gdzie już będzie gościniec.

— Jesteś pan Anglikiem? — spytał Melchior.

— Jestem Szkotem, i należałem do załogi okrętu angielskiego, który rozbił się na wybrzeżach Yukatanu. Probowałem naprzód dostać się do Vera Kruz, ale tutejsza okolica podobala mi się i pozostałem tutaj.

— Dawno tu pan mieszkasz?

— Siedm lat.

— I czemże żyjesz?

— Tem co znajduję: zwierzyną i owocami.

— Musiałeś pan jednak doświadczać nadzwyczajnych przygód? — rzekł kapitan, spostrzegając głęboką szramę na twarzy Szkota.

— Zdarzało się różnie; raz wyzwalem panterę do śmiertelnej walki. Wyznaczono wielką nagrodę za panterę, która zamordowała wszystkich mieszkańców jednego wigwamu, sześcioro ludzi. Pozostawiałem pułapki ze wszystkich stron i złapałem rozbójnicę. Złapała się w pułapkę tak urządzoną, że uciec nie mogło, ale nie widziałem jeszcze stworzenia tak zapamiętałego w obronie. Zarzuciłem na nią lasso, które spętało ją kilkakrotnie, aby mi łatwiej było zawlec moją zdobycz. Wlokłem ją od kwadransu zaledwie, gdy udało się potworowi wyswobodzić jedną łapę i rzucił się na mnie. On to mi wtedy twarz tak przystroił. Wziąłem go przecież w końcu na łańcuch, dostawiłem władzom ofiarującym nagrodę, i nie wiem co tam dalej z nim zrobiono. Trudno jest teraz zarobić kilka dolarów. Nie tak było dawniej, w czasach gdy kopalnie odkryto. Widziałem jak dwadzieścia zarobiono od razu.

— A to jak? powiedz pan!

— Miałem oswojonego tapira. Pewnego wieczoru poprowadziłem go do folwarku, gdzie kopacze złota mieli zwyczaj się zbierać i założyłem się że mój tapir zje sam więcej ziarna niż trzy wieprze. Wsadzono trzech zgłodniałych wieprzów do małej zagrody, mojego tapira do drugiej i wrzucono po wielkim worku ziarna i tu i tam. Wieprze zjadły ledwo połowę swęj porcyi, gdy mój tapir już się z całą załatwił, co nie przeszkadzało mu wcale zjeść z przyjemnością snopak świeżego zboża, które mu jedno z dzieci kopaczy przyniosło.

— Otóż prawdziwie amerykański zakład! — rzekł Tomek. Jakkolwiek rzeczpospolita Guatamala leży pod względem szerokości geograficznej daleko niżej niż Egipt, przecież jest tam daleko zimniej z powodu wysokich gór, których pasma ją przecinają. Biedne małpy cierpiały mocno z powodu tego zimna tak dla nich niewłaściwego i dopiero za pomocą wszystkich kołder, jakie były do rozporządzenia, zdołano zabezpieczyć je od złowrogięj dla nich temperatury. Podróźni szli pod wodzą Szkota, który sam im się ofiarował na przewodnika. Zdawał się on pewnym swęj drogi, ale Menito jakoś mniej niż on sam w sobie, miał w nim zaufania.

— Przed nocą ujrzyecie dolinę Anbigua, gdzie znajdziecie co dusza zapagnie — powiedział Szkot do podróżnych.

— Nie zdaje mi się abyśmy przed wieczorem dosięgli najmniejszej chaty — mruzczał Menito, ale zamilkł nagle, ujrzawszy w pobliżu na pustej dotąd drożynie wśród skał się wijacęj, niedużą czerwoną skrzynkę, idącą na dwóch małych nogach.

— Ja wiem co to jest — powie Dabby Simon — to córka sierżanta ze swą skrzynką z towarami. Już ją dawniej spotykałem.

— Jakiego sierżanta? — spytał Melchior.

— Jest to stary wojskowy, który żyje tu kędyś w górach. Jego żona wyrabia chustki i t. p. rzeczy z wełny, a córka roznosi to i sprzedaje w okolicy. Tak, to ona w istocie — dodał gdy zrównano się ze skrzynką na dwóch nogach. Skrzynka odwróciła się i pod gromadą chusteczek, szalików, mitenek, czepków, czapeczek i t. p. ujrano właścicielkę małych nóżek. Była to dziecina od ośmiu do dziesięciu lat najwięcej, ale poważna jak dorosła kobieta.

— Piękny mamy wieczór — rzekła, odpowiedziawszy na uprzejme powitanie Melchiora i dodała: — Panowie podróżujecie?

— Tak, idziemy do Antigua. Czy nie znasz najlepszej drogi, panienko?

— Zaraz ją wam pokażę, gdy wyjdziemy na szczyt góry,

dalej pójdziecie prosto przed siebie. Panowie jesteście cudzoziemcy?

— Nie zupełnie — odpowiedział przewodnik — ale czy nie widziałem ja przypadkiem panią przed dwoma laty, w San Mateo?

— Być może, bywam tam co rok na Boże Narodzenie.

— Sama?.. nie lęka się Indyan? — spytał Melchior.

— Doprawdy nie — odrzekła mała kupcowa — jeżeliby mnie zaczepili, mieliby do czynienia z moim ojcem. Ja jestem panna Cortina! — dodała dumnie podnosząc głowę.

Słońce już zaszło, gdy wędrowcy w towarzystwie panny Cortina zatrzymali się na noc, pod kępą wspaniałych modrzewiów. Daleko, w stronie południowej można było odróżnić w zapadającej ciemności chmurę różową.

— To wulkan Mezaya,* znajdujący się prawie na waszej drodze prowadzącej do Antigua — rzekła dziewczynka — widzicie że dobrą idziecie. Jutro rano wskaże wam drożynę; teraz muszę was opuścić.

I zabrawszy swą paczkę, którą złożyła chwilowo na ziemi, miss Cortina wyszła z namiotu tylko co rozpiętego i poszła urządzić się na nocleg o pięćdziesiąt kroków dalej w gałęziach obalonego drzewa. Melchior nie mógł się nadziwić odważnej małej, która jedynie pod opieką Boską i własnej niewinności, przebiegała te dzikie okolice bez obawy.

— Ciekawy jestem, czy to biedactwo ma choć co do zjedzenia — rzekł i kazał Tomkowi zanieść jej owoców i placka. Ale młody chłopak natychmiast powrócił wraz z zapasami, mówiąc:

— Nawet przybliżyć mi się nie dała, powiedziała, że nie przyjmuje odwiedzin po ósmej godzinie w wieczór.

— To dobrze, pozostawmy ją w spokoju — powiedział kapitan.

Koło północy, podróżni zostali przebudzeni żywym czerwonym blaskiem, oblewającym namiot i drzewa.

— Może to księżyc — rzekł Tomek, otwierając jedno oko. — Ale nie, to las się pali! — zawołał obudzony zupełnie. Wybiegł z namiotu i zaraz Melchior usłyszał wołanie:

— Przychodź mój wuju, patrz, całe niebo płonie, jakże to pięknie!

Całe niebo w południowej stronie było w ogniu, a gdy podróżni na wołanie Tomka wyszli z namiotu i krzaków, ujrzeni wyraźne płomienie wychodzące z pomiędzy gór i oświecające te wszystkie okoliczne wyżyny. Wulkan Mezaya to wybuchał. Od czasu do czasu słyhać było potężny wystrzał niby i snop światła wspanialszy niż inne wylatywał w powietrze, spadając napowrót w postaci iskier i płomyków. Widok ten zdumiał i zachwycał Tomka, który dotąd nie widział wulkanu, prócz owych Hornitos'ów, a to było wcale co innego.

— Patrzaj wuju, pójdź tutaj tu jest dobre miejsce, wejdź na ten kamień, ztąd dobrze zobaczysz. I co tu mówić w obec tego o ogniach sztucznych! Żadna sztuka na świecie nie potrafiłaby wynieść płomieni do takiej wysokości. A na około taki spokój panuje! Jak daleko jest ten wulkan?

— Około ośmdziesiąt mil — odpowiedział Dabby.

— Dwadzieścia mil francuzkich! a zdaje mi się, że go dotknąć można!

— Cóż to się stało, żeście się wszyscy zbudzili? — spytał delikatny głosik z poza Tomka:

— Ah, to miss Cortina! patrz co za precudowny widok!

— Co?... ten wulkan? to dla tego starego wulkanu, żeby mu się przypatrywać wstaliście ze snu! Ja myślałam, że się wam co złego stało. Możecie oglądać ten „precudowny widok” każdej nocy w roku.

Podróżni nasi nie byli jeszcze przesyleni tym widokiem jednakże, tak jak miss Cortina, nie mogli więc ruszyć się z miejsca, podziwując go przez część nocy, dopóki mgła poranna nie przysłoniła go nareszcie.

Za ukazaniem się słońca znikły płomienie ponad wulkanem, i pozostał tylko duży słup dymu, który zdawał się w niebo wstępować. W powietrzu unosił się miazgi pył z popiołu, a wiatr pędził go jak fale; mimo to widok był dosyć rozległy,

a nawet przez przerwę w górach ukazywał się w oddali świetny błękit oceanu Spokojnego.

Trudno teraz było zstępować z gór, przecież wędrowcy prowadzeni przez miss Cortinę, dostali się bez przypadku na rodzaj tarasu, utworzonego przez wyższą dolinę rzeki Klaro. Tegoż poranku rozstali się ze Szkotem.

Nareszcie zatrzymała się mała kupcowa i wskazując palcem domek kamienny, wyglądający jak latarnia morska na tem morzu zieleni, rzekła:

— Tam oto mieszkają moi rodzice. Panowie podróżni już dacie sobie radę w drodze bezemnie; spieszę do domu; dawno już go opuściłam. Nie możecie już teraz zabłądzić.

Kapitan serdecznie podziękował dobremu dziecku, za uprzejmość z jaką ich prowadziło.

— Coś mi się zdaje że nie bardzo pomyślnie musi tu iść handel, ale nic mi do tego — rzekł Tomek, spoglądając na towary z któremi wracała.

— I dla tego, lepij byłoby abyś się tem nie kłopotał — odpowiedziała wręcz miss Cortina. — Już pewno ja znajdę stu kupców na moje towary, nim pan znajdziesz jednego na swoją obrzydliwą małpę!

— A to paniąka umiesz się odciąć ślicznie! — zaśmiał się Tomek — ale mylisz się, bo my nic nie sprzedajemy, owszem, czy nie znasz ktoby nam chciał sprzedać jakie zwierzęta? Kupujemy wszystko: koty, kotki, kocięta...

— Naprawdę? — spytała. — Cemuż nie mówiłeś tego wprzód? Chcielibyście może parę niedźwiedzi? Mój ojciec mógłby wam dostarczyć parę młodych.

— A co za nie zażąda?

— To już nie do mnie należy — odpowiedziała filutka. — Idźcie drożyną koło rzeki, jeżeli mój ojciec jest w domu, przysłę go do was, i spotkacie go zanim dojdziecie do mostu. Niedźwiedzie są tam w górach.

Rozstano się. Wędrowcy doszli wkrótce do mostu, o którym miss Cortina mówiła. Nie było tam ojca małej kupcowej, ale kapitan postanowił czekać na niego. W pół godziny, człowiek ze strzelbą w ręce ukazał się wśród gór.

— Otóż idzie stary sierżant — rzekł Dabby Simon — poznaję go po wielkiej strzelbie.

— Dzień dobry — rzekł stary żołnierz, zbliżając się i podając z kolei rękę obcym. — No, więc moja córka ma słuszną rację! A jej matka nie mogła uwierzyć, żebyście naprawdę chcieli niedźwiedzie kupować.

— Gdzież one są? — spytał Melchior.

— Tam wyżej! — odpowiedział sierżant, wskazując na łańcuch gór. Jeżeli idziecie do Antigna, to musicie po nie zejść trochę z drogi; ale możecie też dojść do Vera Paz przez San Minguel; spoczniecie w klasztorze.

— W jakim klasztorze?

— W tym, który zakonnicy urządzili, na schronienia podróżnych w górach.

— A więc idźmy! — zawołał kapitan.

Sierżant, piechur pierwszej klasy stanął na czele kolumny i poprowadził ją krętą ścieżką na około góry, już to w górę już na dół. Przeszedłszy spory kawał drogi, przybyto nad głęboki parów, gdy Czarnula stanowczo odmówiła zstępować dalej po zbyt trudnej drodze.

— To niech nie schodzi, wrócimy do niej — powiedział sierżant; i gdy Menito prowadził zwierzę w żądom górski, gdzie mogło rozkoszować się pyszną trawą, oczekując skutku wyprawy, sierżant powiódł resztę wędrowców w głąb parowu. Zatrzymał się na małej skalistej płaszczynie z boku góry i wskazując w pobliżu stos głazów pochodzących z oberwania się skały.

— Tam jest jaskinia niedźwiedzicy — rzekł. — Ma ona dwoje małych jednomiesięcznych blisko; po nie to idziemy, ale aby je zabrać, musimy najprzód pozbyć się matki.

— Trzeba mieć strzelby w pogotowiu — zauważył Tomek.

— Nie potrzeba nam strzelby, teraz rzecz idzie tylko o małe; niedźwiedzicy niema w domu.

— Jakże to pan wiesz?

— Poszła polować na świszczce, gatunek psów łąkowych na stoku gór i powraca z polowania zawsze dopiero gdy słońce

jest już wysoko, to jest po południu mniej więcej. Teraz proszę mi potrzymać moją strzelbę...—podał ją kapitanowi, otworzył torbę u pasa, wyjął z niej parę rękawic skórzanych i obejrzawszy się bacznie naokoło po skałach w wąwozie, wśliznął się cicho w stos głazów i znikł pomiędzy niemi. Przez kwadrans nie dał żadnego znaku życia:

— Może niedźwiedzica nie wyszła z domu?... — szepnął Tomek wypowiadając w ten sposób swoje i wuja obawy.

— Ach wie on co czyni, bądźcie spokojni — mruknął Dabby Simon — to najlepszy myśliwy w okolicy. Ma on taki dowcip jak i jego córka. Otóż go macie.

(d. c. n.)

PYTANIE.

Świąteczne wakacje zgromadziły w Wólce bardzo liczne towarzystwo. Była to przeważnie młodzież szkolna, wesoła, chciała wiejskich uciech i wiejskiej swobody. To też bawiono się znakomicie; przejażdżki konno, wycieczki w okolice, długie przechadzki a wieczorem wspólne czytanie lub ochocze tańce uprzyjemniały pobyt wesołej gromadce. Ale dotąd nie jeżdżono jeszcze łódką; nie, to rzecz niesłychana, żeby nie urządzić wycieczki łodzią, gdy się mieszka tuż nad śliczną Wartą i ma tak dobrą sposobność podziwiania jej malowniczych wybrzeży!

Przygotowano zatem piękną, obszerną łódź, przygotowano suty podwieczorek, bo apetyt zwykle młodym dopisywał, i całe towarzystwo wyruszyło w jak najweselszym usposobieniu. Starsi chłopcy przyjęli obowiązek wiosłowania, ale, że płynęli z prądem wody, nie mieli zaimprovizowani wioslarze zbytnej pracy. Niebawem rozległy się w powietrzu tony ulubionej piosenki „Wesoło żeglujmy, wesoło”, po niej następowały inne i znowu inne; łódka płynęła szybko po przejrzystej toni, wioząc naszych podróżnych w kierunku malowniczych ruin klasztoru, położonego u stóp wyniosłego wzgórza, tuż nad brzegiem Warty. Niebawem stanęło towarzystwo u celu wycieczki, trzeba było tylko dobić do brzegu. Adaś zatem, 12 letni chłopaczek, który stał u steru, skierował łódź ku wygodnej przystani, tymczasem łódka popłynęła kilka metrów dalej, a Adasia wysmiano, że nie potrafi sterować. Chłopczyk bronił się twierdząc, że sterował jak najdokładniej w kierunku przystani — ale czemuż w takim razie łódka popłynęła dalej?

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

(od Czarnego Gołąbka dla Mani Borowej).

Mając dany iloczyn i po dwie cyfry cząstkowych iloczynów, znaleźć mnożną A i mnożnik B?

$$\begin{array}{r}
 \\
 \\
 \\
 \\
 \\
 \hline
 2
 \end{array}$$

SZARADA.

(od Przyjaciółki dla Konwalijki).

Myśmy z fachu rzemieślniki
 Czynność naszą zna świat cały,
 Gdyż bez nas wozy i bryki
 Nie do użytku by stały.
Pierwsze drugie u kolaski
 To rąk naszych *trzecie drugie*,
 Więc podróże z naszej łaski,
 Nie są bardzo zmudne, długie.

Kto historyi chce znać karty,
 Zgłębić przeszłość badaniami,
 Czytać stare *trzecie czwarte*,
 Ten się wśród nich spotka z nami,
 Z naszego to bowiem grona,
 Wyszedł ten, co siadł na tronie,
 A złota władzy korona
 Zwieńczyła mu chwałą skronie.

REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Łamigłówki sylabowej:

1. Wino. 2. Rotszyl. 3. Orkan. 4. Żyto. 5. Brew. 6. Indyjanie. 7. Aj! aj!. 8. Rumieniec. 9. Cesarz. 10. Elizy. 11. Saba. 12. Ziele. 13. Cal. 14. Zenon. 15. Eji. 16. Szczerzość. 17. Cmentarz. 18. Izaak. 19. Antoni.

Wróżbiarce szczęścia od nowój czytelniczki.

TREŚĆ: Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzeworytami).—Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Rada, wiersz p. Annę D. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Pytanie. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Króliki, p. Maryę Weryho (z drzew.) — Niespodzianka dla mamy, obrazek sceniczny. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



KRÓLIKI.

W kotlinie królików było bardzo spokojnie, w kącie na mchu spały małe króliki, a opodal od nich siedział tatuś-królik z mamusią, zajadali koniczynę i rozmawiali pocichu.

— Tak się już stęskniłam do listków kapustki! zdaje mi się, że jeden listek wystarczyłby mi na dzień cały.

— Co prawda, moja kochana, tu i rzepa wcale nie zła, jakim się wczoraj do niej dobrał, to mi się odejść nie chciało.

— E, co tu mówić! w lecie pełno rzeczy smacznych się znajduje, ale w zimie...

— No cóż! w zimie mamy znowu korę drzew owocowych.

— Co mi to za jedzenie!

— Ale możebyś poszła do swojej kapustki, tyleś dni przesiedziała w tej ciemnej norze, idź, a ja dzieci popilnuję.

— Gdzieżbym się mogła od tego maleństwa odwalić...

Wtem dał się słyszeć szelest. Króliki trzepotały niecierpliwie nóżkami.

— Zaraz, zaraz dzieciaczki moje drogie, zaraz was nakarmię.

I matusia poskoczyła do królików i zaczęła je karmić mlekiem swoim.

— Czy jeszcze nie przejrzały? — pyta ojciec, przysuwając się do gromadki.

— Jeszcze, ale za parę dni z pewnością już widzieć będą. Dobrze mi się dzieciaki chowają, tłusciuchne i ładniuchne. Patrzno jaki ten biały, ani plamki na futerku; a ten znów jak zabawnie srokaty.

— Ciekawym, czy który z nich będzie miał takie wąsy długie jak moje.

Po tej rozmowie przeszło dni kilka. Już króliki powyrastały; już przejrzały na oczki, nawet i wąsy rosnąć im zaczęły, takie same jak u tatusia.

Pewnego dnia, ojciec królik bardzo wczesnie obudził swoją rodzinę i oznajmił, że dziś wyprowadzi wszystkich na łąkę. Dzieci ogromnie się ucieszyły i już miały się rozbiegać po korytarzach, gdy ojciec je powstrzymał mówiąc surowo:

— Czekaćcie no dzieci, wam tylko bieganie w głowie, musicie wysłuchać kilka bardzo ważnych przestroż.

Ładnie jest na świecie, lecz niebezpiecznie. Mamy pełno nieprzyjaciół, chociaż nikomu nic złego nie robimy. Lis, pies, sowa, orły, myśliwy, wszystko to na nas czatuje, a są i tacy, co się do naszej nory nielitościwie zakradają.

— E, to ja takich drapieżników pogryzę — wykrzyknął jeden śmielszy królik.

— Pogryziesz? a czym ciekawy jestem, czy masz takie zęby, jak oni?

— Nie — odparł króliczek — teraz mam zębów niewiele: na przodzie dwa u góry i dwa u dołu i trochę w głębi pyszczka, ale jak urosnę, to przecież mi i zęby urosną.

— Mylisz się, kochanku, mieć ich więcej nie będziesz, ani ja, ani twoja matka więcej nie mamy. Nawet nieboszczyk dziaduś czternaście lat przeżył na świecie, a więcej nie miał.

— No to pazurami ich podrapię.

— I tem się nie obronisz, ho oni pazury mają mocniejsze. To właśnie bieda nasza, że nie mamy czem się bronić, ale za to mamy dobre uszy i dobre nogi, to nas tylko ratuje.

Króliki wzajemnie popatrzyły na siebie i naprawdę zobaczyły, że uszy mają bardzo długie.

A ojciec mówił dalej:

— Nastawiajcie uszy na wszystkie strony, gdzie tylko posłyszycie jaki szmer; i chcąc je nauczyć, jak to robić powinny, zaczął przechylać uszy to w tył, to w bok, to znowu ustawiał je jak różki prosto.

Dzieci też próbowały go naśladować, ale jeszcze nie bardzo im to się udawało.

— A jak posłyszycie jaki szelest, zmykajcie co siłą, macie na to dobre nogi.

— Ale ja tatusiu mam tylko dwie nogi dobre, a drugie dwie zupełnie małe, może mi jeszcze urosną.

— Jakżeście niemądry — odrzekł tatuś — czy nie widzisz, że my wszyscy mamy przednie nogi krótsze od tylnych?

Królik chciał się przekonać, zaczął oglądać nogi rodziców i teraz dopiero zobaczył, że wszystkie króliki miały jednakowe nogi.

Króliki myślały że ojciec już skończył mówić i porwały się z miejsca.

Ale ojciec groźnie zawołał — znowu uciekacie? — I ciekawy jestem gdzie pobiegniecie, kiedy drogi nie

znacie. Musicie przede wszystkim dobrze rozpatrzyć się w swoim mieszkaniu. Widzicie, że się ono składa z dołka — kotliny — a z niego rozchodzi się mnóstwo korytarzy. Każdy korytarz wychodzi na powierzchnię ziemi. Zmykając starajcie się trafić do jednego z korytarzy, a każdy przyprowadzi was do domu.

— A to ja tym korytarzem pobiegnę. A ja tym.

— Nie, to ja tym, to...

I zaczęły się spierać z sobą.

— Dosyć — zawołał ojciec. — Teraz wszystkie za mną.

I skoczyły małe króliki za tatusiem, lecz skakać jeszcze dobrze nie umiały, to też przewracały się często.

Nareszcie wyszły na dzienne światło i pierwszy raz ujrzaly łąkę.

Co to była za radość! co za dokazywanie! Prędko zapoznały się z całą łąką. Wiedziały gdzie smaczna jest trawka, gdzie dobry korzonek, gdzie kora słodka. Nauczyły się zręcznie skakać i dobrze się kryły przed nieprzyjaciółmi.

A były takie ostrożne, że nawet często zmykały przed szelestem liści.

Najczęściej wychodziły w nocy, a w dzień siedziały w norkach swoich.

Razu jednego, kiedy cała gromadka siedzi sobie spokojnie w kotlinie, wpada gość nieproszony tchórz.

W mgnieniu oka rozbiegły się króliki na wszystkie strony, po wszystkich korytarzach, a tchórz za nimi.

Biegną co siły mają i już, już są przy końcu korytarza, już mają na łąkę wypaść aż tu przy samem wyjściu wpadają do pułapki, siatki zastawionej na nich przez ludzi.

Smutny był koniec biednych królików, zabrali je ludzie do niewoli.

Jedne pozabijali, mięso wzięli na pieczone, a skórki posłali do fabryki kapeluszy filcowych. Inne wsadzili do klatki, ażeby mieć z nich po ostrzyżeniu wełnę miękką.

A chociaż dobrze się z nimi obchodzono, jednak tęskniły za rodzicami i braćmi, za norką swoją, za swobodą i zawsze myślały o ucieczce.

Marya Weryho.

NIESPODZIANKA DLA MAMY,

OBRAZEK SCENICZNY.

OSOBY.

GUCIO — 10 lat.

ZOSIA — 7 lat.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w końcu stycznia.

Scena przedstawia pokój dziecinny: wielki stół na środku, na nim książki, kajety i wszystkie przyrządy do pisania. Na prawo okno, na lewo drzwi, obok drzwi rozmaite zabawki, łóżeczko z lalką malutką, komoda, krzeselko dziecinne.

SCENA I.

Gucio siedzi przy stole i pisze.

ZOSIA (wchodząc). Dzień dobry, Guciu.

GUCIO (pisząc). Dobry dzień, siostrzyczko.

ZOSIA. Jesteś zajęty?

GUCIO (pisząc ciągle). W tej chwili kończę zadanie. Chcesz żebyś się z tobą bawił?

ZOSIA. O nie! Mam ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

GUCIO (zamykając kajet). Cóż takiego?

ZOSIA (tajemniczo). Wszak wiesz że jutro mamy imieniny. Otóż dzisiaj zaraz po obudzeniu się dużo myślałam nad tem, jaką by miłą niespodzianką urządzić dla mamy.

GUCIO. I ja myślałem o tem, przygotowałem już nawet książkę z powinszowaniami, jak przyjdzie babcia, poprosimy ją aby nam wskazała, które wierszyki mamy się nauczyć.

ZOSIA. Ej co tam wiersze! To żadna niespodzianka, wszak na wszystkie uroczystości uczymy się wierszy dla rodziców. Mnie całkiem co innego przyszło do głowy. Przypomniałam sobie jak onegdaj mama mówiła do tatusia, że to prawdziwa rozkosz mieć bukiet świeżych kwiatów o tej porze roku. A zatem kupmy ładny bukiet i ofiarujmy go mamie.

GUCIO (kłaszcząc w dłonie). Doskonały pomysł. Wszak mamy własne pieniądze w skarbonkach. Ja mam 9 zł.

ZOSIA. A ja sześć.

GUCIO. Co czyni razem 15. Za tę sumę można mieć ładny bukiet.

ZOSIA. Jak przyjdzie babcia, poprosimy ją aby wyszła z nami do miasta i dopomogła nam wybrać kwiaty.

GUCIO. Napiszę na ładnym papierze: „Dla drogiej mamy od kochających dzieci”. Przypnę papier do bukietu i ofiarując go mamie, wypowiem stosowne do tego wiersze.

ZOSIA (zdziwiona). Jakto? ty masz ofiarować bukiet mamie?

GUCIO. No, ofiarujemy go razem! Wszak napiszę w liczbie mnogięj od „kochających dzieci”. Tylko ja będę miał bukiet w ręku i ja podam go mamie.

ZOSIA. Wcale nie! Ja chcę go sama podać.

GUCIO. Proszę, a to jakim prawem?

ZOSIA. Bo ja miałam ten pomysł doskonały, jak sam się wyraziłeś.

GUCIO. Ale ja jestem starszy, przytem mężczyzna, a mężczyźnie zawsze należy się pierwszeństwo.

ZOSIA. O przepraszam bardzo, jak jedziemy na spacer, tatuś nigdy nie siada pierwszy do powozu.

GUCIO (zakłopotany). To znowu co innego... Zresztą ja mam większe prawo do bukietu, bo daję więcej pieniędzy na kupienie go.

ZOSIA. Ale gdyby nie ja, nie pomyślałbyś wcale o bukietcie.

GUCIO. Pomyślałbym czy nie, to do ciebie nic nie należy. Ja chcę sam ofiarować go mamie i proszę mi się nie sprzeciwiać.

ZOSIA. Ciekawam, co cię upoważnia przemawiać do mnie takim tonem.

GUCIO. To, że więcej się uczę i że jestem o wiele rozumniejszy od ciebie.

ZOSIA (drwiąc). A może i to że wczoraj siedziałeś w kozie.

GUCIO (*zakłopotany*). To i cóż że siedziałem... ale jestem, byłem i będę mądrzejszy od ciebie.

ZOSIA. To jeszcze bardzo wątpliwe!

GUCIO. Nic a nic nie wątpliwe, bo mężczyzna zawsze mądrzejszy od kobiety.

ZOSIA. Chyba od téj która się uczyć nie chce. Jak pójdę do szkoły, to ja z pewnością na karę nie zasłużę.

GUCIO (*rozgniewany*). Kiedy mi tak ciągle dokuczysz tą kozą, to już nie chcę mieć nic wspólnego z tobą i kupię bukiet tylko za swoje pieniądze.

ZOSIA. A ja kupię drugi za swoje.

GUCIO (*drwiąc*). Ładny mi będzie bukiet za sześć złotych.

ZOSIA. Proszę cię nie troszcz się o to.

GUCIO (*idąc ku drzwiom*). Tak mi dokuczylaś że wychodzę, żeby ciebie nie widzieć.

ZOSIA. Wolę zostać samą, niż z takim niedobrym bratem. (*Gucio wychodzi rozdąsany*).

SCENA II.

ZOSIA (*sama zbija się do łóżeczka, bierze lalkę*). Zresztą nie będę tak całkiem samą: mam lalkę. (*Tuż ją do siebie*). Ta mi się przynajmniej sprzeciwić nie będzie, (*siada na krzeselku i zaczyna ją ubierać, wyjmując ubrania z komódki*). A ten Gucio taki niedobry, tyle mi przykrych rzeczy nagadał. Niby to ja już nigdy nie będę taką rozumną jak on! zapewne teraz mniej umiem od niego, on się uczy i w szkole i z tatusiem, a ja to tylko te parę godzin co z nauczycielką... Ale zaraz od jutra poproszę mamy aby mi pozwoliła uczyć się tego wszystkiego co i on, a wtedy zobaczymy kto będzie miał lepsze stopnie... A tymczasem co będzie z bukietem?... Tak mi jakoś przykro, gdy pomyślę że będziemy każde z osobna mamie winszować... Mama zaraz się domyśli żeśmy się znowu pokłócili... A mama tak się za to gniewa... taką jęj to robi przykrość. Przytem mój bukiet będzie mniejszy od bukietu Gucia... Co tu robić? (*zakrywa twarz rękoma*). Mój Boże, mój Boże, jakie ja mam ciężkie zmartwienie (*placze, po chwili*) Może już lepiej ustąpić... naprawdę niech już tak będzie jak Gucio chce... Biegnę mu powiedzieć że zgadzam się aby on ofiarował mamie wspólny nasz bukiet. (*biegnie ku drzwiom i spotyka w nich Gucia*).

SCENA III.

GUCIO i ZOSIA.

GUCIO. Gdzie tak biegiesz siostrzyczko?

ZOSIA. Do ciebie, chciałam ci powiedzieć że już nie będę ci się sprzeciwiać co do bukietu.

GUCIO. Ja z tem samem przyszedłem do ciebie. Bo widzisz... jak się zastanowiłem nad naszym postępowaniem, zrozumiałem, że zamiast przygotować mamie miłą niespodziankę, przygotowujemy jęj wielkie zmartwienie; wszak wiesz jak mama się martwi każdą naszą sprzeczką.

ZOSIA (*wzdychając*). Wiem aż nadto dobrze.

GUCIO. I mama i tatuś powtarzają nam ciągle że rodzeństwo powinno żyć z sobą w zgodzie, że niezgoda zawsze i wszędzie sprowadza nieszczęścia. Nie dalej jak wczoraj mówił mnie o tem tatuś podczas lekcji historii...

wykazywał zgubne skutki niezgody, zbawienne solidarności..

ZOSIA (*przerywając*). Co to jest solidarności?

GUCIO. Solidarność... Czeka (*zamyśla się*). Jakże mi to tatuś tłómaczył? (*zamyśla się*) Aha! wiem już... Solidarność to... to wtedy gdy wszyscy zgodnie dążą do jednego celu.

ZOSIA. Tak jak my do zrobienia przyjemności mamie. Będziemy więc solidarni... prawda? Ale któż mamie doręczy ten dowód naszej solidarności? Zgadzam się zawczasu na to co postanowisz.

GUCIO. Ponieważ tobie jako panience ładniej będzie z bukietem w ręku, postanowiłem więc, że ty go podasz mamie.

ZOSIA (*uszcześliwiona*). Mój Guciu, jakiś ty dobry (*całuje go*).

GUCIO. Ale wiesz co jeszcze zrobimy? Dajmy sobie słowo nigdy się więcej nie kłócić i na papierze, który mamy przypiąć do bukietu napiszemy tak: „Dla drogiej mamy od kochających dzieci, które obiecują nigdy już się nie kłócić”. A dotrzymanie téj obietnicy będzie najmiłą niespodzianką dla mamy.

ZOSIA (*zachwycona*). Mój Guciu, jakiś ty mądry!

GUCIO. A teraz chodźmy opowiedzieć to wszystko babci, która już zapewne przysła.

(*Wziąwszy się za ręce wybiegają z pokoju*).

SZARADA.

(*ułożona dla jednej z czytelniczek Wieczorów*).

Żyję na drzewie, w wodzie, jak z losu wypadnie,
A czasem jestem sobie panienką i kwita,
Bardzo miłą, uprzejmą, co się uczy ładnie.
Kto jednak chce mnie poznać niech z boku wyczyta
A natychmiast kim jestem z łatwością odgadnie.

Łamigłówka w kwadraciku.

(*ułożyła Szarotka alpejska*).

4 r — 2 n — 5 a — 3 o — 2 m — ułożyć w kwadraciku z 16 podziałek tak, aby odczytać w obu kierunkach:
1. Nazwisko bożka. 2. Nazwę materyi. 3. Miasto w Algeryi
4. Nazwę bólu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Szarady:

Je — leń.

Łamigłówki sylabowej:

1. Karol. 2. Rano. 3. Aron. 4. Komód. 5. ÓY. 6. Welon.

Skrzynka do listów.

Odbierać liściki jak twój, kochana Grażyno jest wielką i bardzo wielką przyjemnością, więc pisuj jak tylko mieć będziesz czas

i ochotę potemu. Cieszę się, że ci się podobały dziewczynki, o których wspominasz, bo sympatya jest tu wzajemną. Co do zadania konkursowego nie wątpię ani chwili, że się z kosztem nie zapozna, i zanim z niego zdamy sprawę, wraz z innemi autorkę ściskamy serdecznie.

Znakowi zapytania powtarzamy to, co już mówiliśmy wielokrotnie, że drukujemy jedynie korespondencye panienek do panienek i chłopczyków do chłopczyków, niechże więc wybierze sobie kolegę, z którym chciałby korespondować.

Kogut znajdzie dla siebie odpowiedź w tem, co powiedzieliśmy „Znakowi zapytania”.

Serdecznie ci dziękuję, droga **Białonóżko z pod Karpat** za kwiatek na tamtejszej ziemi wyrosły. Choćby nawet nie był tak ślicznym okazem ulubionych mi bratków, zawsze bym go mile powitała, jako dowód pamięci od jednej z moich siostrzyczek.

Carmen droga, pisywać możesz, bo wypracowania twoje ja czytać będę, a ja myślą sercem i oczyma jestem na wasze usługi. Ale warunek lat uchylić się nie da, jak to sama już zresztą rozumiałaś.

Lwowiance obszerniej wkrótce odpiszę w sprawozdaniu z konkursu.

Masz słuszność, **Maryno z pod Garwolina**, twierdząc że w ciemnym życiu domowym najlepiej poznać się można. Nudnem jest ono dla tych tylko, którym brak wszelkiej treści wewnętrznej. Jakże cię musiała boleśnie dotknąć śmierć tego maleństwa, które matkę niepocieszoną zostawiło! Żle żyć nie kochając nikogo, a ciężko kochać i tracić!

Za „serdeczny pocałunek” takż sam przesyłam **Kopciuszkowi**.

Bławatku z nad Horynia, przykro nam wszystkim, że nie masz teraz „odwagi” pisywać do Wieczorów. Popraw się kwiatuszku polny, a ja w zamian wstawię się do redakcyi o umieszczenie liściku. Tylko ta „kolój” nieszczęśliwa!

Nie, **Stokrotko z nad Stochodu** twój domysł *nie* jest trafnym, ale za to bardzo jest zajmującym to, co mi piszesz o miejscowym kościele i żałuję, że już do konkursu nie należysz. Najżywszem przejął mnie współczuciem twój niepokój o „skarb najdroższy” da Bóg, że ta ukochana mateczka wprędce powróci do zdrowia.

Mówiono mi w redakcyi o bytności twojej, kochana **Niebieska Wstążeczko**, ja także żałowałam, żeśmy się rozmięły. Kto wie? może niespodzianie powetujemy to kiedy sobie...

Dziękuję ci, **Niezapominajko z nad Warty** za serdeczne słowa dla mnie i życzenia dla Józia. Niedługo napisze znowu list, o który od wakacyi nudzi redakcyą, aby mu go umieścić pozwoliła. (Mówię: „nudzi” sądzę jednak, że was list jego zajmie). Mam siostrę, z całej naszej rodziny, ona jedna nie pisuje w Wieczorach, ale za to dawniej, młodszą będąc, pisywała (pod pseudonymem) do mnie i ja odpowiadać jej musiałam, nie wiedząc kim jest moja korespondentka. A od lat 8-miu w jednym pokoju sypiamy! Józio tylko wiedział o tym figlu i pomagał do niego, bo ta młodsza para zawsze z sobą wiernie trzyma.

Nie choruj „z rozpacy”, **Dumko z nad Sobu**, bo zmartwiona chorobą twoją **Gołąbka**, gotowa by polecieć, dowiedzieć się o twoje zdrowie, a nużby jej skrzydełek nie starczyło na tak daleką podróż?

Ach Lilijko z nad Osławy, dużą już jestem i dorosłą! a tak mało jeszcze zrobiłam dobrego. Z listu mego do Niezapominajki z nad Warty dowiesz się, że mam rodzeństwo. Nie, nie „śmiej się” z tego co mi mówisz o rodzinnej ziemi swojej i czuję że ją kochasz i wiem, że jest piękna i malownicza. Tak jak ty kwiatki lubię, ptaszki, lasy i pieski, a szczególnie psy duże. Miałam przez lat 10 czworonożną przyjaciółkę, której dotąd nie zapomniałam, choć już nie żyje.

Tak najlepiej zaczynać **Brzózko i Śmieszko** „siostrzyczką” nazywając waszą **Gołąbkę**. Nawet wypracowanie konkursowe inaczej sądzi *siostra*, a inaczej osoba obca. Oj, przekupić mnie chyba chcecie! a co na to powie redakcyja?

Różowa Jutrzenko pisują do mnie nawet siedmioletnie, dla

czegoż więc miałabym się „obrażać, że pisze do mnie 10 letnia panienka, która „wolne chwile poświęca czytaniu”? Gotowam się obrazić, ale za to że mnie za *śmiałość* przepraszasz. Posyłam ci jednak całusa, również jak i młodszej od ciebie **Zorzy północnej**, która dobrze odgadła zadanie konikowe.

Droga **Malinko z Goworowa**, odebrałam już twoją odpowiedź na zadanie konkursowe, a jakkolwiek nie czytałam jej jeszcze, nie wiem dla czego z góry zapowiadasz, że „pochwały się nawet nie spodziewasz”? Po Świętach ogłoszone zostanie sprawozdanie z konkursu, a czy redakcyja powoła was przed wakacyami do nowego, czy nie, to już jej tajemnica, której nie wolno mi zdradzać przedwcześnie. „**Dr. Muchołapski**” w oprowie kosztuje rs. 2 kop. 25, bez oprawy rs. 2. Cieszę się bardzo, że list Józia, pierwszy raz próbującego pióra, potrafił cię natchnąć ochotą przeczytania tej książeczki, ze wszechmiar ciekawej.

Listu twego, **Zorzo** kochana nie odebrałam wcale, jaką go drogą wysłałaś?

„**Nowa pręnumeratorka**” **Cyb**, wyraża nadzieję, że się niebawem pokochamy. Ma się rozumieć, moja droga, ja kocham wszystkie moje siostrzyczki i wszystkim radabym dogodzić. Tobie jednak nie mogę, boś mi adresu swego nie przysłała.

Gołąbka.

Kochana **Gołązko Heliotropu!** Zgadnij kto ja jestem? Znasz mnie doskonale. Ściskam cię serdecznie *Srebrna Kropelka*.

Drogie moje: **Jedlinko i Jagódko śnieżna!** Na imię mi **Marylka**, mam rok 15-ty, uczę się teraz w domu, za rok pojedę do Warszawy, jestem jedynaczką i przepadam za ślizgawką. Donieście mi mile moje czy lubicie ślizgać się i co porabiacie wieczorami? Całuję was po milion razy *Kulka śniegowa*.

Serdecznie pozdrawiam **Kampanellę i Cichą Wodę**.

Moja ty złota **Chmurko złocista!** Dopiero temi dniami szperając w przeszłorocznej Skrzynce do listów, trafiłam na pozdrowienie od ciebie, które się gdzieś między innemi ukryło. Odważam ci się serdecznym całuskiem, a na pytanie odpowiadam, że na wystawie nie była. A ciebie czy wietrzyk nie zawiął w tamte strony?... *Brzydotka z nad Tanizy*.

Kochana biała **Orliczko!** Dziękuję ci bardzo za liścik, którego się nie spodziewałam. Poznałam zaraz kim jesteś, pseudonym twój bardzo mi się podoba. Ściskam cię wraz z **Maliną, Łezką z nad Lutyni**.

Mam do ciebie wielką sympatyę, droga **Czeska Niezabudko** i chciałabym bardzo poznać się z tobą. Czy grywasz na fortepianie? Ja muzykę niezmiernie lubię i dużo jej czasu poświęcam. Ściskam cię i proszę odpisz koniecznie *Błękitnej Kokardce*.

Kochana **Ako!** Piszę do ciebie w nadziei, że zostaniesz moją stałą korespondentką. Donieś mi proszę, jak ci na imię, ile masz lat, czy masz rodzeństwo, gdzie mieszkasz i gdzie się uczysz? Ja mam lat 11, jestem jedynaczką, uczę się w domu przy nauczycielce. Inne szczegóły pozostawiam do dalszych liścików, a teraz przesyłam ci serdeczne uściśnienia, prosząc cię o prędką odpowiedź. *Życzliwa Maryna z pod Garwolina*.

Ślizgawkę i **Sarenkę z nad Sanu** pozdrawiam, czemu do mnie nie pisać? czy już nie należą do czytelniczek **Wieczorów**?

Serdecznie ci dziękuję moja złota **Kulko śniegowa** za twą do mnie odezwę, która mi wielką sprawiła uciechę. Czy bardzo lubisz **Wieczory**, które ja tak pokochałam, że nie chciałabym nigdy rozstawać się z niemi, bo i jakżeż ich nie kochać? kiedy tyle ślicznych rzeczy drukują i uczą. Zdaje mi się że lubisz muzykę i ja także bardzo lubię, a nie mniej rysunki. Oczekując odpowiedzi, ściska cię *Biała Perelka*.

Drogie moje: *błękitna Kokardko, słodka Pomadko różowa i biała Chmurko!* Donieście mi moje złote, gdzie uczycie się? co najlepiej lubicie z nauk? Ja geografję i historję nowożytną. Czy należycie do nowego konkursu? Ściskam was serdecznie *Niezabudka z nad Chomoru*.